



## POWIEŚĆ

osnuta na tle ostatnich wypadków w Królestwie Polskiem.

NAPISAŁ

JERZY SWOBODA.

4 (Ciąg dalszy).

— To zależy, czasem bardziej krępują, aniżeli narzucone... są to zresztą osobiste przekonania... Czy dawno znacie Żaleckiego?

— Trzeci rok, od czasu, gdy jestem na uniwersytecie. On o rok dłużej chodzi, ale... zawsze tak samo się ubierał.

— Mielicie inne „ale“ na myśli — uśmiechnęła się Olga.

— Tak jest. On dopiero w roku zeszłym przystąpił do partii.

— A wy?

— Ja sympatyzowałam zawsze z partią, ale jakoś nie przyszło do wpisania się w jej szeregi. Czytałam dosyć ich broszur, książek... dopiero dziś zdecydowałam się na zerwanie z narodowcami.

— Z przekonania?

— Po części tak... ale prawdę mówiąc, zapal Żaleckiego mnie pociągnął... a może naprawdę socjalizm zapełni mi pustkę życia, którą czasem czuję.

— Któż z nas jej nie miewa — westchnęła Olga.

— O, mężczyźni jej nie miewają — śmiała się — tym nie zabraknie rozrywek... Ale otóż i nasza kawiarnia!

Weszli na pierwsze piętro, do wielkiej sali zapełnionej małymi, krągłymi stolikami z kanapkami przy ścianach, a w środku stały dwa bilardy, z których jeden był zajęty. Przy stolikach tu i ówdzie siedzieli goście z gazetami w ręku i na zrobiony rumor podnieśli leniwie oczy. Zobaczywszy jednak młode panny, ożywili się, a spostrzegłszy młodych towarzyszy, uśmiechali się drwiąco. Jeden z nich, nałożywszy binokle, spojrzał krytycznie na przechodzącą i rzekł z lekceważeniem w głosie:

— To studentki!

W sali owionęło ich gorące powietrze, przepełnione niezdrowymi wyziewami tytoniu, kawy, tłuszczy mlecznego i jakichś chorobliwych podnieceń.

W mniejszym, ubocznym pokoju było cokolwiek chłodniej, gdyż paliła się tylko jedna gazowa lampa. Usługujący zapalił kinkiet z trzech lamp i struga światła padła na pokój z licznymi stoliczkami, kanapkami i krzesłami.

Na ścianach, pomalowanych w cudaczne desenie, mające naśladować styl modny, wisiły trzy obrazy oleodrukowe. Jakiś widok opuszczonego młyna, i dwa wizerunki kobiet, których suknie nie starczyły na zakrycie nagości, obie udawały zalotność i sztuczną wstydlivość.

— Tu będzie nam dobrze! — zawołał Waldman — poprzesuwamy stoliki sami... a pan niech sobie odpocznie — zwrócił się do garsona, człowieka starszego.

— Niech pan pozwoli, ja to zrobię — zaczął garson przesuwając stoliki, ustawiać krzesła.

I gdy inni rozmawiali ze sobą, Waldman, wzięszy na siebie rolę gospodarza:

— Jeśli panu mówię, że sam to zrobię, to pan powinien być kontent, i tak wyzyskuje pana ten burżuj, kawiarni. A ile pan zapłacił dziś do puszeki? — śmiał się głośno.

— Ile zapłaciłem, to moja rzecz, ja nie zaglądam do cudzej kieszeni.

— Co to jest? — oburzył się Waldman tak głośno, że inni zwrócili uwagę — jeśli ja do pana grzecznie, to pana obowiązkiem grzecznie odpowiadać.

— Niechże się nikt nie miesza do moich spraw i nie wymyśla gospodarzowi, u którego służę... co pan każe przynieść?

Waldman zaperzył się i z gniewem:

— Jeszcze raz mówię panu, że kawiarni wyzyskuje pana i pan, jako człowiek wolny, powinien się oburzać na to, a nie być pokornym niewolnikiem. Rozumie mnie pan teraz?

— Nie jestem tu do rozmowy, tylko do usługi. Co państwo każą? — odwrócił się tyłem do Waldmana z ostentacją.

— Spodlony niewolnik — mruknął Waldman. Garson zmierzył go wzgardliwie i odbierał polecenia gości.

Gdy wyszedł, rzekł Żalecki z wymówką:

— I co za sens wszczynać kłótnię?

— Myślałem, że to człowiek, a to bydlę — bronił się Waldman.

— Taki człowiek, jak i ty — powiedział twardo Żalecki — tylko innych przekonań i te trzeba uszanować.

— Może i każdego burżuja — mruknął Waldman.

Przyniesiono zamówione napoje, a Olga, popijając herbatę, miała czas przyjrzeć się zebranym.

Na kraju zestawionych stolików siedziała ładna brunetka, w ciemnoniebieskiej aksamitnej bluzce, a z pod filcowego, ciemnego kapelusika, spadały w puklach czarne, krótkie włosy.

— Kto ona? — szepnęła do sąsiadki, Heleny.

— Jest na niemieckiej literaturze, Fanny Baumritt, córka tutejszego kupca.

W tej chwili studentka, o której mówiły, z błyszczącymi oczyma, odślaniając w uśmiechu białe, równe zęby, zawołała do dalej siedzącego Edmunda:

— Kolego Wojtyrski, coż wy na tę zabawną awanturę na ostatniej wycieczce?

— Niepotrzebnie ta koleżanka znikła z uniwersytetu.

— Ja się jej nie dziwię — odezwała się Matylda Eisenfach, trochę piegowała, z ostrymi rysami twarzy — po takiej publicznej kompromitacji, co jej pozostawało?

— Mogła zostać ta Molska — powiedziała Baumritt z drwinami — a kolega Wojtyrski byłby ucieszony.

— Co za przyjemność poruszać brzydkie sprawy i w dodatku wymieniać nazwisko — przemówił zwolna Schweiger, młody, trochę zgarbiony student, blade, mizerny, brzydki, tylko czarne oczy w zaczerwienionych powiekach błyszczały rozumnie.

— O, nasz uczony nareszcie zagadał — zaśmiała się Fanny — ale kolega broni jej, co to znaczy?

Spojrzał na nią surowo i rzekł dobitnym głosem:

— To znaczy, że ona nieświadomie, bo była pijana, popełniła głupstwo słowne, a inne... no, bywa różnie — kończył cichszym głosem i zajął się swą kawą.

— Cóż to za przygoda? — szepnęła Olga.

— Na wycieczce uraczyła się zanadto i zaczęła głośno się zwierzać... z różnych... tajemnych rzeczy. Rozumiecie, że po tej spowiedzi publicznej... nie mogła zostać.

— Czy skompromitowała kogo? — spytała, mając na myśli tajemne związki rewolucyjne w Rosji.

— Ależ nie — uśmiechnęła się Helena — to jej osobiste pożądanie, chęci... marzenia...

— Ach, rozumiem! — i mimowoli zarumieniła się — to okropne i kto ją spoił?

— A któżby? Koledzy, no i sama dla rozweślenia się...

— Żałuję jej — westchnęła Olga.

— Sama sobie winna — mruknęła twardo.

Mężczyźni zapalili papierosy, i całe towarzystwo rozmawiało półgłosem, prócz Żaleckiego, miętosiącego od czasu do czasu swą wielką czuprynę, i przechadzającego się po pokoju smukłego szatyna, z krótko obciętemi, niemal przy skórze włosami, a ciemna, nierówna broda okalała twarz ładną, młodą, z tęsknym wyrazem w ciemnych, marzących oczach. Był to Stanisław Walczak, słuchacz przyrody, który nagle zbliżył się do stołu i rzekł surowym głosem:

— Może wy macie czas rozgadywać się po próżnicy, ale na mnie czekają lekcje. Jeśli macie co postanowić, to dobrze; a nie, to pójdę.

— O cóż koledze idzie? — zdziwił się jeden z uczestników — siadajcie, wypijcie kawę...

— Na takie zbytki mnie nie stać... ano, dalej do roboty! Zerwaliśmy z narodowcami, to i dobrze, a dalej co? Czy mamy, jak to było bez pastucha, rozleść się po polach i ugorach?

— Ładne porównanie — zaśmiała się drwiąco Fanny Baumritt i zagryzła ładne usta.

— Idzie o treść, nie o formę — odpowiedział z miejsca — zatem co będzie?... Żalecki, powiedzcież mi słowo.

Ten spojrzał z pewnem wahaniem po całym towarzystwie, gdy Edmund wstał i rzekł tonem stanowczym:

— Tu niema się co namyślać, zakładamy nowe, nasze, socjalno-demokratyczne towarzystwo!

Odezwały się głosy uznania, czem zachęcony, mówił dalej:

— Sądzę, iż jasną jest rzeczą, że nasze towarzystwo musi być tajemne.

— Oczywiście! naturalnie! — posypały się skwapliwe potwierdzenia.

— A więc żadnych podań o pozwolenie. Ale jakiś punkt zborny mieć musimy. W prywatnym mieszkaniu będzie nam ciasno i niewygodnie, bo dziś jest już nas piętnastu, a z wszelką pewnością będzie nas wkrótce więcej. Komorne za jeden pokój nie tak bardzo nam zacieży.

— Prawda!

— Zakładamy kółko partyjne!

— Zgoda! — zawołali ci i owi.

— Słowa nic nie kosztują — przemówił Wal-